

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### SAM

Gdy wróciliśmy do domu, Grace padła na moje łóżko i natychmiast zasnęła. Zazdrościłem jej tego. Leżała w bezruchu, pogrążona w upiornym, przypominającym śmierć śnie wycieńczonej osoby. Nie mogłem do niej dołączyć – wszystko we mnie było zbyt przytomne. Raz za razem odgrywałem w głowie wydarzenia całego dnia, aż przerodziły się w jeden długi film, którego nie dało się podzielić na poszczególne sceny i minuty.

Zostawiłem Grace w sypialni i po cichu zszedłem do kuchni. Wyciągnąłem z kieszeni kluczyki do samochodu i położyłem je na blacie. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że kuchnia w ogóle się nie zmieniła. Po dzisiejszym wieczorze wszystko powinno wyglądać inaczej.

Szmer telewizora na górze stanowił jedyny dowód obecności Cole'a w domu. Cieszyłem się, że mogę побыć sam. Przepęniało mnie tyle radości i smutku, że nie byłem w stanie mówić. Wciąż czułem policzek Grace wtulony w moją szyję i widziałem jej twarz, kiedy patrzyła w gwiazdy, czekając na moją odpowiedź. Jeszcze nie byłem gotowy, by rozcieńczyć to wspomnienie słowami.

Zamiast tego ściągnąłem kurtkę i poszedłem do salonu – tu również Cole pozostawił swój ślad w postaci włączonego telewizora, choć z wyciszonym dźwiękiem. Wyłączyłem odbiornik i wziąłem do ręki gitarę, która stała oparta o fotel. Była odrobinę brudna po wczorajszym graniu na zewnątrz, a na lakierze pojawiła się nowa rysa. Któryś z nas musiał się z nią obejść dość brutalnie.

„Przepraszam” – pomyślałem, bo wciąż nie chciałem się odzywać. Przesunąłem palcami po strunach – zmiana temperatury odrobinę je rozstroiła, choć nie tak bardzo, jak się spodziewałem. Wciąż dałoby się na niej grać, ale poświęciłem chwilę, żeby idealnie ją nastroić. Przełożyłem pasek przez głowę, z łatwością, jakbym zakładał koszulkę, i przypomniałem sobie uśmiech Grace.

A potem zacząłem grać.

Wariacje akordu G-dur, najcudowniejszego akordu znanego ludzkości, nieskończenie radosnego. Mógłbym żyć wewnątrz akordu G-dur, z Grace, jeśliby zechciała. Wszystko co we mnie dobre i proste, można by podsumować tym akordem. To był drugi akord, jakiego nauczył mnie Paul, siedząc ze mną na tej starej kanapie. Pierwszy to e-moll. „Bo – powiedział wtedy Beck, przechodząc przez salon i cytując jeden ze swoich ulubionych filmów – w życiu każdego człowieka musi spaść trochę deszczu. – To wspomnienie zakłuło mnie odrobinę. – Bo – poprawił go wtedy Paul – w każdej piosence muszą być minorowe przejścia”.

Złowieszczy e-mol był łatwy do zagrania dla takiego złotodzioba jak ja. O wiele trudniej było opanować błogi G-dur. Ale Paul sprawiał, że wesołość wydawała się łatwa i naturalna.

To był ten sam Paul, którego pamiętałem – tego, który przyspilił mnie do śniegu, gdy byłem dzieckiem, wyrzuciłem ze swej pamięci. Tak samo pamiętałem tę Grace, która spała na górze, a nie tę w wilczym ciele, którą ledwie żywą znaleźliśmy w leju krasowym.

Spędziłem taki kawał życia, bojąc się żyć albo żyjąc wspomnieniami strachu. Wystarczy.

Moje palce coraz szybciej ślizgały się po strunach, podczas gdy szedłem korytarzem w kierunku łazienki. Światło było włączone, więc nie musiałem przerywać gry, stojąc i patrząc na wannę na drugim końcu pomieszczenia.

Mrok napierał na moje oczy, wspomnienia próbowały mnie dławić. Wciąż grałem piosenkę o teraźniejszości, żeby pokonać przeszłość. Stałem tam z wzrokiem utkwionym w pustej wannie.

Woda przestała cieknąć  
uspokoila się  
zmieszana z krwią

Ciężar zawieszony na pasku gitary trzymał mnie w miejscu. Struny wrzynające się w opuszki palców trzymały mnie w terażniejszości. Na górze spała Grace.

Wszedłem do łazienki. Wzdrygnąłem się, gdy kątem oka dostrzegłem jakiś ruch, ale to było tylko moje odbicie w lustrze. Zamarłem i zacząłem się sobie przyglądać. Czy to była moja twarz?

woda przenikająca materiał mojej koszulki

to nie jest Sam

trzy dwa

Ułożyłem palce tak, żeby zagrać C-dur. Wypełniłem głowę wszystkim, co mogłem zrobić z tym akordem: *Zakochałem się w niej latem, w mej uroczej letniej dziewczynie*. Kurczowo trzymałem się słów, które Grace wypowiedziała wcześniej: „Zamierzasz mnie poślubić?”.

Grace zrobiła już tyle, żeby mnie uratować. Teraz nadeszła pora, żeby sam siebie ocalił.

Nie przestawałem trącać strun palcami, gdy szedłem w kierunku wanny. Moja gitara śpiewała, mimo że ja nie byłem w stanie. Stałem przy wannie i zająłem do środka. Przez chwilę był to tylko zwykły przedmiot. Tylko suchy zbiornik czekający na wypełnienie.

Potem zadzwoniło mi w uszach.

Zobaczyłem twarz mojej matki.

Nie potrafiłem tego zrobić.

Ale moje palce odnalazły G-dur i zagrały tysiąc wariacji tego akordu niemal bez mojego udziału. Piosenki grały się same, podczas gdy ja błądziłem myślami gdzie indziej. Były częścią czegoś większego niż ja, niekończącym się zbiornikiem szczęścia, z którego każdy mógł czerpać.

Zawahałem się. Akordy odbijały się echem od łazienkowych kafelków. Ściany napierały na mnie, drzwi wydawały się daleko.

Wszedłem do wanny. Moje buty zaskrzypiały cicho na suchej powierzchni. Serce waliło mi jak młotem. Czułem, jakby w głowie huczał mi rój pszczół. Mieszkało w niej tysiąc minut innych niż ta, w której teraz trwałem: minuty z żyletkami, minuty, kiedy wszystko, co było mną, płynęło do odpływu, minuty z dłońmi przytrzymującymi mnie w wodzie. Ale była też Grace trzymająca moja głowę nad powierzchnią, jej głos przywołujący mnie do rzeczywistości, Grace biorąca mnie za rękę.

Jednak najważniejsza była ta minuta, w której byłem teraz. Ważniejsza niż wszystkie minione. Minuta, w której ja, Sam Roth, przyszedłem tu o własnych siłach, z muzyką w dłoniach. Silny. W końcu silny.

Rilke powiedział:

*(...) Bo jest tak nieskończona  
zima pośród zim wszystkich, mijających obok,  
że zimujące twe serce pokona.\**

Właśnie tak znalazł mnie Cole godzinę później. Siedziałem po turecku w pustej wannie, z gitarą na kolanach, palcami wciąż trącając akord G-dur i śpiewając piosenkę, której nie śpiewałem nigdy wcześniej. Piosenkę, która niosła ukojenie.

---

\* Rainer M. Rilke, „Sonety do Orfeusza”, przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1964, s. 209.